Nr. 33. Sobota dnia 16-go sierpnia 1913.

GOŚĆ ŚWIĄTECZNY.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę czternastą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Galatów, rozdział V, wiersz 16—24.

Bracia: Duchem chódźcie, a pożądliwości ciała nie wypełnicie: albowiem ciało pożąda przeciwko Duchowi, a Duch przeciwko ciału. Bo te się sobie wzajemnie sprzeciwiają, abyście nie cokolwiek chcecie, to czynili. A jeśli Duchem bywacie rządzeni, nie jesteście pod zakonem. A jawne są uczynki ciała, które są: porubstwo, nieczystość, niewstydliwość, wszeteczeństwo, bałwochwalstwo, czarowania, nieprzyjaźni, swary, zawiści, gniewy, niesnaski, rozterki, kacerstwa, zazdrości, mężobójstwa, pijaństwa, biesiady i tym podobne. O których opowiadam wam, jakom przedtem opowiedział, iż którzy takowe rzeczy czynią, Królestwa Bożego nie dostąpią. A owoc Ducha jest: miłość, wesele, pokój, cierpliwość, dobrotliwość, dobroć, nieskwapliwość, cichość, wiara, skromność, wstrzemięźliwość, czystość. Przeciwko takowym nie masz zakonu. A którzy są Chrystusowi, ciało swe ukrzyżowali z namiętnościami i pożądliwościami.

EWANGELIA

u św. Mateusza rozdział VI, wiersz 24—33.

W on czas mówił Jezus uczniom Swoim: Żaden nie może dwom Panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo jednego trzymać się będzie, a drugim wzgardzi. Nie możecie Bogu służyć i mamonie. Dla tego powiadam wam, nie troszczcie się o życie wasze, cobyście jedli: ani o ciało wasze, czembyście się odziewali. Czyliż dusza wasza nie jest ważniejszą niż pokarm, i ciało niźli odzienie? Wejrzyjcie na ptaki powietrzne, iż te nie sieją, ani żną, ani zbierają do gumien; a Ojciec wasz niebieski żywi je. Czyliście wy niedaleko ważniejsi niż one? I któż z was, troszcząc się, może przydać do wzrostu swego łokieć jeden? A o odzienie czemu się troszczycie? Przypatrzcie się liliom polnym, jako rosną, nie pracują, ani przędą. A powiadam wam, iż ani Salomon, we wszystkiej ozdobie swej, nie bywał tak przybrany, jako jedna z tych. A jeśliż trawę polną, która dziś jest, a jutro będzie w piec wrzucona, Bóg tak przyodziewa; jakóż daleko więcej was, małowierni? Nie troszczcież się tedy, mówiąc: Cóż będziem jeść, albo co będziemy pili, albo czem się będziem przyodziewać? Boć się o to wszystko poganie wielce starają. Albowiem Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Szukajcież tedy naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydano.

NAUKA.

O Bożej Opatrzności.

„Wejrzyjcie na ptaki niebieskie... przypatrzcie się liliom polnym".

Przedziwna zaprawdę jest Opatrzność Boska, która i o ptakach niebieskich pamięta, która i o liliach polnych nie zapomina. Bo ptaszęta nie sieją ani żną, ani sprowadzają do gumien, a żyją. Bo lilie polne nie pracują, ani przędą, a jednak każda z nich tak pięknie odziana. Jakaż ta Boża Opatrzność przedziwna.

Na ptaszki niebieskie wskazując, powiada Pan Jezus: *Nie troszczcie się o wasz żywot, cobyście jedli, ani o ciało wasze czembyście się odziewali.* Wskazując zaś na lilie polne, mówi: *Jeśli trawę polną, która dziś jest, a jutro będzie w piec wrzucona, Bóg tak przyodziewa, jakoż daleko więcej was małej wiary?*

To ręce chyba nam za pas założyć i nic zgoła nie robić, ale się na słońcu wygodnie wygrzewać. To chyba nam porzucić pług, siekierę i kosę, a oczy nasze utkwić tylko w niebo, odzienia i pożywienia wyglądać stamtąd spokojnie.

Nie jeden trzyma się tego i tak praktykuje, że w próżniactwie dzień za dniem mu schodzi, tydzień za tygodniem. Naganiaj go do jakiej roboty, a on gotów ci powiedzieć: ptaszki nie sieją, ani żną, a Opatrzność żywi je; lilie polne nie pracują, ani przędą, a Opatrzność Boża przyodziewa je.

Jakże jednak ptakom siać albo i żąć, skoro nie mają ni rąk, ni sił, ni rozumu do pracy? I lilie polne tak samo. A człowiek inaczej. Człowiekowi kazał Bóg pracować, ale dał mu ręce i siły, do tego potrzebne, dał mu jeszcze i rozum, aby wiedział, jak mu pracować należy. Czytamy też: *„Człowiek się rodzi na pracę, jak ptak do latania"* (Job. 5, 7). A św. Paweł powiada: *„Jeśli kto nie chce robić, niech też nie je"* (II. Tess. 2, 10).

Ale powiesz: to w czemże okaże się naonczas Opatrzność Boża, jeżeli wszystko pracą ciężką mam sobie zdobywać?

Posłuchaj. Pamiętasz pewnie to lato, kiedy to długo, długo, deszczu nie było. Przyszła jesień, posucha trwała dalej, a tuby orać, tuby siać, bo zima nadchodzi. Zorałeś wreszcie i z biedą zasiałeś swą rolę. Czekałeś tydzień, żyto nie wschodzi, czekałeś drugi tydzień, a ono nie wschodzi. Mówiłeś sobie: już i praca moja przepadła i żyto przepadło. Aż tu od zachodu chmurzyć się zaczyna, wnet potem błysło na niebie, zagrzmiało, wnet potem zaczął i deszczyk padać. I padał dzień cały, noc całą. Wychodzisz nazajutrz na pole, a tam już inaczej, a tam już powschodziło ziarno, dobrze się nawet zaczęło zielenić. — Oto Boska Opatrzność. Każda kropla tego deszczu, to Opatrzność Boska. Chociaż ty sam rolę zaorał i sam ją zasiał, wzrost jednak dała ziarnu Opatrzność Boska. *A tak ani kto sieje, jest czem, ani który polewa, ale Bóg który pomnożenie dawa* (I. Kor. 3, 7).

Zachorowało ci dziecię ukochane. Cobyś ty dał, żeby mu tylko zdrowie przywrócić. Zwołujesz lekarzy, a oni radzą, jak mogą, zadają lekarstwa przeróżne, a choroba jednak nie ustępuje. Powiadają wreszcie, że niemasz ratunku, że dziecię umrzeć musi. Ku wielkiemu jednak zdziwieniu wszystkich dziecię nie umiera, zaczyna nawet do zdrowia przychodzić, aż i wyzdrowiało zupełnie. I dzisiaj masz pomoc i pociechę z niego. — Oto Boża Opatrzność.

Kiedy więc tam, gdzie już i siły i rozum i nauka człowieka ustają, pomoc Boża nadejdzie, tam Opatrzność Boska. Choć Pan Bóg mógłby to sprawić, że i bez orki i bez zasiewu rosłoby żyto na twojem polu, ale on chce, abyś ty orał i sumiennie orał, abyś siał i to nie pośład, lecz ziarno zdrowe, a resztę On już Opatrznością swoją sprawuje. I choć to dziecię mógłby bez lekarzy i bez leków Pan Bóg ci uzdrowić, a jednak uzdrawia je Opatrzność Jego, kiedyś ty nadaremnie wszystkie już środki wyczerpał.

To teraz pewnie już zrozumiesz, jak Boska Opatrzność wygląda. Nie tak więc, jak sobie może wystawiasz, że pieczone gołąbki mają ci lecieć same do gąbki, to jest Opatrzność Boska. I nie tak, że Boża Opatrzność ma ci dać koniecznie dobry urodzaj, choć koło roli zrobisz niedbale, choć w grudniu przez niedbalstwo siejesz, zamiast to zrobić we wrześniu. Bo leniuchów Opatrzność Boża wypuszcza ze swojej opieki.

Znajdą się jeszcze insi, co znowu na swoje tylko siły we wszystkiem rachują, a w Bożą Opatrzność nie wierzą. U takich rozum ich jest wszystkiem, ich praca i zapobiegliwość wszystkiem, niczem zaś Opatrzność Boża. Do nich to zwraca się Pan Jezus mówiąc: *Kto z was obmyślając, może przydać do wzrostu swego łokieć jeden?*

Czy znasz ty podobnych? Bodaj, czy do nich ty sam nie należysz. Wstajesz zrana, a pierwsza myśl twoja powinna być o Bogu, pierwsze twoje westchnienie powinno ulecieć do Boga. W dobrem się przecie obudziłeś zdrowiu, kiedy tejże nocy nie mało się na drugi świat przeniosło. Więc za to ci podziękować Bogu. Ale tobie to ani w głowie. Ledwieś oczy przetarł, biegniesz już do gospodarstwa, obchodzisz stajnie, obchodzisz gumna, do pracy się zabierasz. A pacierz gdzie? a modlitwa jaka gdzie? I trochę czasu szkoda ci poświęcić dla Boga, dla duszy, bo upadłoby zaraz gospodarstwo twoje. Możesz jednak i nie spać i nie jeść, jeno wciąż pracować, wszystko to będzie daremne wszelako, jak cię Opatrzność Boża nie wesprze. *I któż z was obmyślając, może przydać do wzrostu swego łokieć jeden?*

To pewnie zapytasz: jakże więc mam postępować? Pilnować bowiem gospodarstwa od rana do nocy, nie zmówiwszy nawet pacierza, źle jest, bo znaczy to nie rachować na Opatrzność Bożą. Nie pilnować, koło roli i dobytku niedbale chodzić, także źle, bo to znaczy kusić tylko tę Boską Opatrzność. Jakoż źle jest w tych rzeczach doczesnych tak się zagrzebać, żeby więcej znaczyło u ciebie wymłócić jeden snop zboża, niżeli się pomodlić. Z drugiej zaś strony nie dobrze i to, kiedy ktoś nie robi, co robić powinien, a wszystkiego się od Boga spodziewa.

Jakże więc masz się zachować wobec Opatrzności Bożej? Tak, jak to dziecko małe, co stara się na nóżki podźwignąć, a rączęta swe do matki wyciąga, aby je podniosła. Tak, jak ten człowiek podeszły w latach, co idąc, laską się podpiera. Tak samo dokładaj i ty z twojej strony starania we wszystkiem, a przytem Boga proś, aby błogosławił twej pracy. Bo już Psalmista powiedział: *„Jeżeli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go zbudowali"* (126, 1).

Pracujmy więc dla ciała, ale więcej dla duszy. Myślmy o tem, co nam jeść, czem się przyodziać, ale więcej myśleć nam o pokarmie dla duszy, o odzieniu dla duszy. Wtedy to nie zawiedzie nas nigdy Opatrzność Boża, a nawet i na nas spełni się ta obietnica Pana Jezusa: *To wszystko będzie wam przydano.* A.

ŻNIWO.

Wyszedł w pole gospodarz o świcie
Ręką twardą przeżegnał zagony,
Patrzy w przyszłość — w swą dolę w zachwycie...
Wyszedł w pole gospodarz o świcie...
Wiatr poranny pieśń szumi mu w życie,
Marzą mu się sny jutra, sny-plony....
Wyszedł w pole gospodarz o świcie.
Ręką twardą przeżegnał zagony.

Szumi, szumi łan zbożny bogaty,
Dźwięczą kosy, pieśń płynie wkrąg żniwa.
Puste wiejskie podwórza i chaty.
Szumi, szumi łan zbożny bogaty,
Dusza płynie z tym szumem w zaświaty,
Śni się szczęsna o jutrze baśń dziwna...
Szumi, szumi łan zbożny bogaty,
Dźwięczą kosy, pieśń płynie wkrąg żniwa...

Ciężkie snopy obsiadły wkrąg pola,
Dożynkowa pieśń zdala gra żywa.
Śpi po pracy rodzajnej, śpi rola...
Ciężkie snopy obsiadły wkrąg pola,
Gospodarzu, szczęśliwa twa dola!
Dobre były, bogate twe żniwa!
Ciężkie snopy obsiadły wkrąg pola,
Dożynkowa pieśń zdala gra żywa.

Wyszedł w pole gospodarz strudzony,
Ręką znojną ociera pot z czoła.
Lśnią się złotem po żniwach zagony...
Wyszedł w pole gospodarz strudzony...
— Zbożny kłosie, bądź błogosławiony! —
Głos modlitwy dziękczynnej wzwyż woła.
Wyszedł w pole gospodarz strudzony,
Ręką znojną ociera pot z czoła.

Zygmunt Michałowski.

KWIAT PAPROCI.

Słoneczko chyliło się ku zachodowi, zapadając powoli za góry i lasy. Ptaszki wykończały jeszcze swe dzienne trele cudowne; bydełko poczęło pomrukiwać, bo radeby już było zażyć nocnego wywczasu. Pastuszkowie podskakując wesoło, wypełniali swym głośnym śpiewem doliny i jary. Jeden tylko Jantek był dzisiaj jakoś dziwnie rozmarzony.

A wesoły był to chłopak, syn ubogiej wdowy, komornicy. Sieroctwo nie wycisnęło na nim swego piętna. Uśmiech stale gościł na jego ustach, w oczach i igrał po całej jego twarzy. Choć liche łachmany okrywały jego ciało, a dziurawy, słomiany kapelusz, jakby tylko od parady usadowił się na jego głowie, jednak był szczęśliwy. Chrzestni, którym pasał by-

dło od czasu śmierci swego tatusia, nie żałowali mu jadła, a choć wymyślali, nie bili go przecie. Rówieśnicy przepadali za nim, bo kręcił im długie baty, wyrzynał kozikiem tartaki i młynki, wspinał się po najwyższych drzewach za ptakami.

Było to w wigiliję św. Jana. Jantek, zapędziwszy bydełko pod las, usiadł i, założywszy ręce na kolanach, pierwszy może raz w życiu zadumał się głęboko. W głowie snuła mu się wczorajsza gadka starej Petruchy o kwiecie paproci. „Kto schwyci kwiat paproci — mówiła Petrucha — temu wszystkie otworzą się skarby, ten panem będzie. Lecz śmiałym i ostrożnym być trzeba, aby nie wpaść w ręce złych duchów".

I dumał Jantek o swych bogactwach, wodząc pożądliwem okiem po rosnącej wokoło paproci.

— O mój Jezusinku, co ja nakupiłbym wtedy! — myślał sobie Jantek i zawczasu układał, czem kogo obdarzy.

— Tobie Matusiu — mówił już głośno — kupię kraciastą chustkę, w kwiaty spodnicę, nie jedną.... dwie, trzy, cztery i więcej, ile będziesz chciała. Daremnie wołali go towarzysze, Jantek, rozradowany w swych myślach, ani się ruszył.

Zmierzch zapadł. Krowy same poszły za drugiemi do domu, a on ciągle siedział i dumał. Wstał wreszcie, poszukał miejsca, w którem najwięcej rosło paproci. Przeżegnał się i usiadł.

— Tu na noc zostanę, — mówił do siebie. Święcony krzyżyk, który mam na szyi, obroni mię przed dyabłami, będę mówił pacierz za pacierzem, a na ostatku zaśpiewam sobie: „Kto się w opiekę". Matusia mówili, że kto tę pieśń śpiewa, żadne złe nie ma przystępu do niego.

I szeptał po cichu pacierze, bojąc się podnieść głosu, aby złe go nie usłyszało. Drżał za każdym szumem wiatru, włosy z przestrachu stawały mu kołkiem na głowie, szeroko rozwarte źrenice utkwił w liściach paproci i patrzył — patrzył, aż wreszcie drzewa i krzaki zaczęły maleć, niknąć, rozpływać się i — Jantek zasnął.

Nadchodziła północ. Naraz robi się blask w lesie. Przy Jantku, poza nim, przed nim, wokoło błyszczą, mrugają drobne gwiazdeczki. To kwiaty paproci. Sięga po jeden z nich, urywa i przyciska usilnie do piersi. Spojrzy dokoła i widzi kupy złota, drogie kamienie, perły, przecudne tkaniny, a wszystko to tak lśni cudownie, że aż oczy przymrużyć musi. Wtem słyszy turkot, i pędem leci karoca, a w niej dyabli. Jeden z nich, wywijając batem, usiłuje czarodziejski kwiatek wytrącić z rąk Jantka. On ściska go atoli coraz mocniej, aż pot występuje mu na czoło i krzyczy, co sił mu starczy: „Kto się w opiekę". Zmęczony, otwiera wreszcie oczy i nie wie, czy to sen, czy na jawie. Perlistą, w tysiące barw mieniącą się rosę, bierze za drogie kamienie; toż i turkot słyszy w oddali.

— Czyżby dyabli uciekali? — myśli Jantek. Turkot coraz głośniej i bliżej słyszy, aż wreszcie z poza drzew ukazała się para koni, ciągnących wózek, z wałkami płótna, a przy nim z batem w ręku kroczy Szymon, tkacz z pobliskiej wioski.

— W imię Ojca i Syna... a cóż to za ranny ptaszek? — zawołał z uśmiechem gospodarz, na widok wystraszonego Jantka, ściskającego w ręce pęk paproci. — Cóż ty to robisz?

— Chciałem kwiatu paproci — odpowie Jantek. — Toć on skarby otwiera, mówiła mi Petrucha, a ja tak chciałbym być bogatym!

Roześmiał się tkacz na taką mowę Jantka i rzecze:

— Weź się chłopcze do pracy, a ta z pewnością otworzy ci skarby.... Podobasz mi się i wziąłbym cię do siebie, gdyby twoi rodzice na to zezwolili... Jestem zamożnym gospodarzem, umiem robić płótno, więc tkam w wolnych chwilach i niejeden już grosz za mą pracę do skrzyni schowałem.... Pan Bóg zabrał mi jedynego syna; — gdybyś zechciał pracować, chętnie nauczyłbym cię swego rzemiosła.

— O z ochotą pojadę z wami, jeśli ta wasza praca skarby mi ukaże. Matusia mi pozwolą, bo sami biedni, a tatuś to już dawno w grobie. Chrzestni, którym pasę, pewno o mnie dbać nie będą, bo mię już nieraz wypędzali, przezywając urwiszem, darmozjadem...

I poszedł Jantek do Szymona. Był posłuszny, pilny i pracowity. Wyręczał, w czem tylko mógł, swych dobroczyńców; toż oni pokochali go jak własne dziecko, a, widząc, z jaką ochotą garnie się do tkactwa, wysłali go na naukę do miasta, aby tam w szkole zawodowej tkackiej wyuczył się porządnie rzemiosła tkackiego. Po trzech latach wrócił do Szymonów, jako tkacz zawołany. Ulepszył warsztat swego opiekuna, oddał się z całym zapałem tkactwu i ani chwilki nie zmarnował, aby nietylko spłacić dług wdzięczności Szymonom i matce, ale także uciułać sobie trochę grosza, którego dzieckiem tak bardzo łaknął. Dziś już Jantek wie, że kwiat paproci — to praca, która tylko tym skarby otwiera, co szczerze do niej się garną, wie także, że ona hojnie obdarza tylko swych miłośników, a skąpczynią jest dla próżniaków. Żyje też wesół, zdrów i szczęśliwy, szanowany dla swej uczciwej pracy przez całą okolicę. Starą matkę przygarnął do siebie, która, tuląc wnuki, prawi im rozmaite baśnie, nie zapominając i o kwiecie paproci. Mieszkańcy wioski, w której mieszka, jemu też zawdzięczają swój dobrobyt, gdyż wyćwiczeni przez Jantka we chwalebnym kunszcie tkackim i z niego wzór biorąc, nie marnują czasu na próżniactwie, ale pilnie i z zupełną znajomością rzeczy na swych już udoskonalonych warsztatach wyrabiają tak piękne płótno, że przed niem niech się schowają wszelkie tego rodzaju zagraniczne wyroby, a wyrabiają je z przecudnej przędzy, której im wprawna ręka żon, córek i matek obficie dostarcza. Niemniej też i okolica, szczerze przez Jantka zachęcana, śle coraz częściej swych synów do szkół przemysłowo-zawodowych, a ci, wyuczywszy się tam tego lub owego pożytecznego rzemiosła, przynoszą tę wiedzę pod rodzinną strzechę i nie tylko sami piękny chleb z niej mają, ale i drugim zarobku nie szczędzą.

O człowieku, który nigdy nie zgrzeszył.

(Bajka słowacka)

W pewnej wiosce żył człowiek, ubogi ale bardzo poczciwy, pobożny; a chociaż był już biały jak gołąb, przecież nigdy jeszcze w życiu nie zgrzeszył, nikomu nie ubliżył nawet najmniejszem słówkiem, nic nie przewinił i nikogo nie skrzywił. I gniewało to czarta w piekle; podrapał się za uszami i rzekł:

— Toby można pęknąć! Inny, choć uczciwy, przecież za życia w tem lub owem już przysłuży się, ale ten dziś lub jutro zemrze a nic jeszcze nie uczynił po mej woli. No, poczekaj, już ja ci pokażę!

Biedny człowiek nie wiedział, że czart robi na niego zasadzkę; żył spokojnie w swoim domeczku, mo-

dlił się co dzień do Boga, nie urażał nikogo, nie pożądał rzeczy cudzej i sprawował się według przykazań Bożych.

Wtem naraz — skąd się wziął, to się wziął, bodaj raczej przepadł na dno piekła — wpada mu dyabeł do izby i to tak, jak go Bóg stworzył; zęby miał jako kołki, nogi końskie, na głowie rogi a w tyle ogon w dodatku i zaraz zaczął:

— A jakże, wiesz ty, kogo masz przed sobą? Od twych narodzin bez ustanku chodzę za tobą, a jeszcze ani razu nie mogłem cię skusić do grzechu. Teraz wybierz sobie co chcesz: albo zabijesz człowieka, albo będziesz bluźnić Bogu, albo się upijesz. Z tych trzech grzechów, czy chcesz czy nie chcesz, jeden popełnić musisz. Jutro znowu tu przyjdę, abyś znowu mi powiedział, coś wybrał.

Gdy skończył, wyleciał kominem.

A pobożny człowiek co na to?

Co prawda, nie lękał się tak bardzo, bo wiedział, że kto z Bogiem, z tym Bóg. Czytał cały dzień w książce od nabożeństwa, a w końcu jeszcze pomodlił się i westchnął:

— Nie wódź nas na pokuszenie, ale zbaw nas ode złego.

Ale cóż? Na drugi dzień rano znowu dyabeł do izby wleciał kominem i stanął przed nim:

— No — pyta — czyś się już namyślił?

— Ej, namyślił. Kiedyś dyabłem, idź do piekła, gdzie cię Chrystus Pan zamknął, a ludziom poczciwym daj spokój. Już ja dla dogodzenia tobie nie zgrzeszę!

— Ale ja ci powiadam, że tego nie unikniesz; bo nie ma, ani nie będzie na świecie człowieka, któryby choć raz w życiu nie zgrzeszył. Jeżeli będziesz sprzeciwiał się temu, oczaruję cię i popełnisz wszystkie trzy grzechy razem. Dobrze to spamiętaj sobie. Jutro znowu przyjdę.

I dyabeł znowu wyjechał kominem.

Pobożny człowiek został sam i oparł głowę na dłoni. Myśli, myśli. Im dłużej łamie sobie głowę, tem bardziej przekonuje się, że dyabeł miał nieco słuszności. — Toć my wszyscy grzeszni; przecieżby Chrystus Pan nie był umarł za mnie nadarmo, gdybym nie grzeszył! Dyabeł może mieć racyę. Ot, nie będę się z nim włóczył za łby, ale co wybrać? Zabić człowieka? Ej, to byłby ciężki grzech! Całe życie nikogo nie skrzywdziłem, ani dziecku najmniejszemu nie dokuczyłem, a teraz od razu mam człowieka zabić! Tego nie uczynię. Panu Bogu bluźnić, o, i to byłby grzech ciężki! Od mej młodości ludziom złego nie powiedziałem słowa, a teraz na stare lata miałbym Bogu bluźnić? toć tego nie uczynię. Upić się! Hm! To byłby grzech najmniejszy, przecież tym sposobem nikogo nie urażę. Cóż! Upiję się, przyjdę do domu, prześpię się — i będzie koniec kłopotu, dyabeł pozostawi mnie w spokoju.

Jak postanowił, tak zrobił, wstał od stołu i poszedł do gościńca, gdzie jeden po drugim spijał kieliszek, aż sobie podchmielił porządnie.

Przychodzi do domu. Tu wbrew swojemu zwyczajowi, począł robić hałas. Od hałasu obudziło się wnuczę i poczęło płakać. Chciał je uderzyć za to po plecach, ale ugodził w głowę tak, iż na wieczność oniemiało. Wówczas nietylko czartowi, ale wszystkim świętym i Bogu samemu począł urągać i bluźnić.

Tak patrzcie, co robi pijaństwo? Gdyby nie był się upił, mógłby był świętym umrzeć — a potem nie było złoczyńcy, złodzieja i zbójnika większego od niego. Bo najtrudniej się raz spróbuje, potem to idzie jak po maśle.

A ten czarny w piekle radował się i raduje się po dziś dzień, iż nie nadarmo wymyślił gorzałkę.

TO I OWO.

POKŁOSIE MORSKIE.

Pokłosie na roli zdarza się raz do roku i trwa krótko, morze jest szczodrobliwsze, bo codziennie, po odpływie swoim, coś dla biedaków zostawia. Wychodzą oni tedy z koszami lub linami na wybrzeża i zbierają okruszyny, ze spichlerza wodnego wyrzucone. Plon napozór mizerny: muszle, ryby, kraby, odłamki zatopionych okrętów; czasami morze coś więcej wartającego wyrzuci: beczkę z sucharami, skrzynkę z prochem, odłam krzewu koralowego lub kawały bursztynu. Takie pokłosie zdarza się rzadko, tylko Bałtyk bywa hojniejszy, dostarcza ubogim i zamożnym bursztynu, skamieniałej żywicy z osobliwego rodzaju sosien, pogrzebanej w ile dna morskiego.

Już przed trzema tysiącami lat bursztyn znano i używano jako ozdobę kosztowną; Grecy cenny elektron przywozili z nad Bałtyku, obdarzając zań dzikie, ubogie strony dobrobytem i cywilizacyą. Pobrzeżanie zbierali lub wyławiali bursztyn ile i kiedy kto chciał aż do XIV wieku, dopóki zakon krzyżacki nie uznał kupczenia bursztynem za monopol własny. Od tego czasu pobrzeżanie byli zmuszeni do zbierania i wyławiania bursztynu dla zakonu, w zamian płacono im równą wagą soli, a ponieważ handel solą też stanowił monopol braci rycerskich, przeto kosztowny produkt nabywali oni za bezcen. Mieszkańcom nie wolno było pod grozą surowych kar zbierać bursztynu na użytek własny, nie wolno im było chodzić po wybrzeżu bez nadzorcy, bo ten „występek" karany był chłostą lub więzieniem; u kogo znaleziono kawałek bursztynu, tego czekała śmierć przez powieszenie. Te drakońskie prawa zniósł Kazimierz Jagiellończyk, uznawszy bursztyn „za powszechny dar Boży, wolny od wszelkich opłat", ale niebawem znów nabrały one dawnej powagi. W Prusach książęcych monopol bursztynu trwał aż do 1836 roku; pobrzeżanie co lat trzy musieli składać przysięgę, że nietylko nie będą zbierali bursztynu, ale że o każdej defraudacyi doniosą władzy. Fryderyk Wielki rotę przysięgi tej uzupełnił krzyżackim dodatkiem: „choćby ojciec lub matka moi dopuścili się defraudacyi, wydam ich." Zbieranie bursztynu na użytek prywatny karano szubienicą, torturami a nawet łamaniem w kole. W Królewcu jeszcze w r. 1826 kat za spełnianie egzekucyi na defraudantach bursztynem pobierał oddzielną pensyę. Dziś rząd pruski prawo połowu lub zbierania bursztynu wydzierżawia.

